

Tadeusz STYCZEŃ SDS

**PRAWDA O OSOBIE:
GODNOŚĆ OSOBISTA WOBEC GODNOŚCI OSOBOWEJ
Odpowiedź Tadeuszowi Szkołutowi**

Szanowny Panie!

W podjętej ze mną polemice stwierdza Pan, co następuje:

„Otóż autor jest zdania, że człowiek zyskuje «godność osobową» tylko wówczas, gdy jest w stanie «przekroczyć siebie w stronę prawdy», a tym samym dostrzec swą łączność z innym «ja», posiadającym podobne aspiracje”.

Otóż nie twierdziłem i nie twierdzę, jak Pan mi to przypisuje, że „człowiek zyskuje «godność osobową» (podkr. – T.S.) tylko wówczas, gdy jest w stanie «przekroczyć siebie w stronę prawdy»...”.

Twierdzę natomiast, precyzując zarazem, iż człowiek potwierdza posiadaną przez siebie godność osobową, gdy aktem wolnego wyboru potwierdza to, co sam stwierdziwszy osobiście swym aktem poznania – sam przez to samo już za prawdę uznał. Wówczas też „zyskuje”, rzecz można, godność osobistą. W tym też znaczeniu można rzec, że „staje się sobą, gdy przekracza siebie w stronę prawdy”.

Paralelnie do powyższego twierdzę, że człowiek uderza w posiadaną przez siebie osobową godność, bądź też uwłacza jej, gdy aktem wolnego wyboru zaprzecza temu, co sam osobiście stwierdziwszy własnym aktem poznania – sam przez to już za prawdę uznał. Wówczas też „traci”, rzecz można, godność osobistą. W tym też znaczeniu można rzec, iż „przestaje być sobą”, gdy zaprzecza prawdzie, którą sam stwierdza.

Nota bene. Analizując tę sprawę korzystam rozmyślnie, czyli z racji metodologicznych – zarówno w mych tekstach, jak i w wykładach – z przypadków prawd zupełnie banalnych, jak na przykład stwierdzenie barwy tej oto konkretnej kartki papieru, z której odczytujemy tekst, lub stwierdzenie prawdy tego oto konkretnego faktu (skądinąd nie tak banalnego), że pan doktor Tadeusz Szkołut z UMCS polemizuje ze mną, Tadeuszem Stycznem z KUL. Zaraz jednak potem proponuję swemu rozmówcy w charakterze eksperymentu: Proszę teraz zaprzeczyć temu, co sam Pan stwierdził! Polemizuje Pan, Panie Tadeuszu, z Tadeuszem Stycznem czy nie? Tak czy nie? Prawda czy nie?

I czekam uważnie na odpowiedź i na reakcję w nadziei, że dowiemy się już razem ja wraz z mym rozmówcą – czegoś niezwykle interesującego i przedmiotowo ważnego dla nas samych o nas samych, czyli o sobie jako o podmiotach swych działań świadomych i dobrowolnych, a dalej idąc w głąb – o moralnej strukturze naszej wolności. Dlatego pytam siebie i rozmówcę:

Czy mogę (możesz) zaprzeczyć temu, com (coś) sam stwierdził? Mogę (możesz), oczywiście. Nie muszę (nie musisz) wcale potwierdzić tego własnym wolnym wyborem, co sam stwierdzam (stwierdzasz) własnym aktem poznania. Nikt mnie (ciebie) do tego nie może – nie jest w stanie – zmusić, jeśli nawet próbuje. Czy mi (ci) to jednak wolno?

Skąd płynie ten opór, czy też napór na to moje: „mogę, nie muszę”? Jakiego typu jest ten napór? Jakie są – i mogą być – jego źródła, te istotne czy nieistotne lub mniej istotne? Czy napór ten mnie zniewala? Czy nie jest raczej tak, owszem, właśnie tak, że każdy sam dopiero może siebie zniewolić i – niestety – sam siebie de facto niekiedy zniewala, gdy – jako podmiot wolny – sam temu dokładnie zaprzecza, co sam stwierdza – jako podmiot poznania? Czy bowiem wybierając to, czemu sam przeczy, i mimo to sam to wybiera, pozostaje nadal... wolny? I... sobą? Czy nie poddaje się sam wówczas w sposób ewidentny jakiejś przemocy? I cóż z tego, że czyni to d o b r o w o l n i e, skoro traci wtedy nieuchronnie coś istotnego ze swej samozależności, czyli właśnie ze swej wolności, o ile chce ją nadal rozumieć jako zależność od samego siebie? Sam oddaje swą wolność w służbę przemocy. Czy takie samozakłamanie nie jest aktem samozniewolenia, najgorszą z możliwych form zniewolenia, więcej, aktem przekreślania samego siebie?¹ Pytam. I odpowiedzi na to ze strony rozmówcy oczekuję, by móc razem kontynuować analizę tej ważkiej sprawy.

A zatem: mogę, nie muszę. Owszem. Ale czy mi wolno? A bo co? A bo sprawa zahacza o mnie. To kto ja właściwie jestem? Oj! Nie byle kto. Uwaga! To k t o ś! Nie coś. Ale kto to zatem jest właściwie ten ktoś?

Oto więc przykłady prawd, które mnie interesują, i próbka ich analizy. Interesują mnie naturalnie nie tylko tego typu prawdy, te banalne konstatacje, ale także ich implikacje, czyli warunki konieczne zarówno ich sensu, jak i konieczne warunki ich zachodzenia. Można te warunki nazwać – za M. A. Krąpcem – racjami uniesprzeczniającymi zachodzenie faktu o tak oto wyłuszczonej – w odnośnym doświadczeniu – treści. Do wejścia na trop tych inte-

¹ Znamienne, że wiele różnych nurtów filozofii współczesnej wprowadza dla opisu i charakterystyki tego fenomenu pojęcie alienacji lub auto-alienacji, wyobcowania lub samo-wyobcowania, od-podmiotowienia czy uprzedmiotowienia. Różne nurty, charakteryzując odmiennie fenomen alienacji, różnie też będą wskazywać potem drogi wyzwolenia, upodmiotowienia czy dezalienacji. Por. T. Styczeń SDS, A. Szostek MIC, *Liberalizm po marksistowsku. Antropologiczne implikacje marksistowskiej soteriologii*, w: T. Styczeń SDS, *Wprowadzenie do etyki*, Lublin 1995, s. 207-226.

resujących mnie spraw starczą mi jednak, jak rzekłem, prawdy (ich stwierdzenie) zupełnie banalne, proste, ewidentnie oczywiste, jak to, że teraz piszę ten oto list do Pana.

W tekście Pańskim natomiast czytam i z tej lektury się dowiaduję, że chodzi mi o „pełną prawdę moralną, religijną, bo taką właśnie prawdę w szerokim znaczeniu aksjologicznym, jak się zdaje (podkr. – T.S.), autor ma na uwadze”.

Moje aspiracje poznawcze są, nie kryję, maksymalistyczne. Chodzi mi o poznanie wszystkiego, co na własny temat jako kogoś, kto staje w „potrząsku” tego oto prostego i zarazem ewidentnego zdania: „Com sam stwierdził, temu nie wolno mi zaprzeczyć” – mogę się o samym sobie i o drugich na wspólny nasz temat dowiedzieć. Chcę z tego, co zawarte jest w tych danych i na podstawie tych danych, których przykłady podałem, wyczerpać – niczym ze źródła – wszystko do końca, co tylko się da. I w oparciu o nie – jako o swą podstawę metodologiczną – uzasadnić to wszystko, co zostało zeń wyczerpane². Tyle że te dane, jak sam Pan ma możliwość stwierdzić, czyli doświadczyć, i o tym się sam osobiście przeświadczyć, czyli przekonać, to stwierdzenia prawd, owszem, ewidentnych, bo aż kłujących niepodważalnością swej bezpośredniej oczywistości, lecz mogących zarazem uśmiech wzbudzać banalnością swej treści. Może więc byłoby lepiej nieco wnikliwiej czytać tekst kogoś, o kim się potem pisze, i nie pominąć czegoś w tym tekście z istotnie – z racji metody badania przedmiotu – ważnych różnicowań, aby nie ponosić odpowiedzialności z podjęcia ryzyka nazbyt pochopnego wygłaszania twierdzeń bez pełnego pokrycia w rzeczywistości, a jedynie w oparciu o: „jak się zdaje”.

A Pana twierdzenia to twierdzenia mocne. Ks. Tadeusz Styczeń ma zagrażać wolności innych. Ma poniżać drugich przez wywyższanie siebie ponad nich – roszcząc sobie prawo do wygłaszania twierdzeń prawdziwych. Czy jednak nie są owe twierdzenia Pana równie mocne w swym roszczeniu, co gołosłowne – wzięwszy pod uwagę to, co ja rzeczywiście twierdzę, i na podstawie czego to twierdzę, a nie to, co Pan o mnie twierdzi i jest mi skłonny przypisać? Wróćmy jednak do głównego wątku myśli, przerwanego wyżej uwagą: „nota bene”.

Zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku, czyli zarówno w przypadku potwierdzenia przez człowieka swej osobowej godności aktem wolnego wyboru, jak i w przypadku uwłaczania przez niego swej osobowej godności aktem wolnego wyboru, chodzi o odniesienie człowieka jako podmiotu działania do godności, którą on posiada już jako byt o określonej strukturze, z jaką pojawia się w tym świecie. Struktura ta jako związana z jego

² Chodzi o źródło informacji (poznania) oraz o metodologiczną podstawę ich poznawczej ważności (prawomocności) w znaczeniu tych terminów ustalonym przez K. Ajdukiewicza.

bytem – wyznacza człowiekowi określoną pozycję (rangę) aksjologiczną, „różni go od – i wyróżnia wśród – wszystkich pozostałych bytów”³. To jednak, co go różni od wszystkich innych bytów i co go wśród nich wyróżnia, objawia się nam z wolna już dzięki temu, co dostrzegamy wprost, i co się nam w oparciu o to objawia jako coś, przez co człowiek jest tym, kim jest, i co posiada on jako ktoś, kto realnie jest. To i owo na ten właśnie temat zdołaliśmy co dopiero wysondować już z wyżej przeprowadzonego mini-eksperymentu. W tym sensie – człowiek – jest kimś, kogo on sam ani nie zyskuje, ani też nie traci poprzez swe świadome i dobrowolne działania, stanowi jednak dla nich normę i stały punkt odniesienia do mierzenia ich moralnej wartości, w zależności od tego, czy respektują one to, kim człowiek jest, czy też uwłaczają temu, kim człowiek jest.

Oto dlaczego Menander mówi zrozumiałym dla ludzi różnych epok językiem, gdy powiada: „Jakże czarującą istotą jest człowiek, gdy jest człowiekiem!” – czyli gdy poprzez swe działania – świadome i wolne – postępuje zgodnie z tym, kim jest, czyli zgodnie ze swą godnością osobową, a więc godnie, godziwie, czy też niezgodnie z tym, kim jest, czyli niegodziwie, w sposób niegodny siebie. Jeśli postąpi zgodnie ze swą osobową godnością, wówczas nabiera – dodatkowo – godności osobistej.

O tym właśnie mówi do nas wszystkich zza grobu Menander wraz całą plejadą dramaturgów antyku. (Dlaczego ich teksty ciągle są lekturami szkolnymi we współczesnym świecie?)

To samo mówi jednak – tyle że niejako odwrotnie, z przeciwległej strony – również ów napis na Bloku Śmierci w Oświęcimiu: „Człowiek człowiekowi...”

Człowiek człowiekowi...

Kim? Kimś czarującym? Nie? Dlaczego nie?

W imię tragicznej treści tego napisu, czyli w imię „nigdy więcej” dla Oświęcimiów i Majdanków w dziejach ludzkości, powstaje ONZ. Zostaje proklamowana – jako ważne po wsze czasy orędzie ludzi do ludzi – Powszechna Deklaracja Praw Człowieka. Czyżby to była tylko – podszyta ukrytymi zapędami imperializmu kulturowego danej epoki i wywodzącymi się z niego totalitarnymi zakusami do uniwersalizacji własnych preferencji etycznych – ekstrapolacja „prawdziowości” tradycji kulturowej?⁴

Proszę, Panie Doktorze, odpowiedzieć sobie samemu na to pytanie – i komu Pan za słuszne uzna. Proszę tu jednak i o tym nie zapomnieć, iż to

³ Por. Jan Paweł II, *Jakie są perspektywy tego pokolenia?* Przemówienie wygłoszone do przedstawicieli świata nauki w Auli im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego (KUL) w dniu 9 czerwca 1987 r. „L'Osservatore Romano”, 8-14 czerwca 1987 r, nr spec., s. 16-19.

⁴ Por. T. Styczeń SDS, *Wolność i prawo. Za czy przeciw życiu? Etyk wobec „nieskuteczności” prawdy*, „Ethos” 9(1996) nr 3-4, s. 37-53.

w oparciu o demokratyczne reguły wyłoniono parlament Trzeciej Rzeszy, twórcę późniejszych ustaw rasowych zwanych norymberskimi. Wielki kłopot dla sędziów parę lat potem w Norymberdze. Sędziom tym bowiem zabrakło jakichkolwiek podstaw w stanowionym prawie do tego, by zbrodnię przeciwko ludzkości uznać – uwaga! – za nieśluszną, czyli po prostu za zbrodnię. Wszak każdy z oskarżonych o zbrodnię działał zgodnie z ustawami ciał legislacyjnych Trzeciej Rzeszy, wyłonionych w wyniku demokratycznych wyborów przez społeczeństwo Niemiec w 1933 roku. Czyżby więc zbrodnia nie była zbrodnią tylko dlatego, że nie została – w odnośnym kręgu kulturowym – za taką uznana?

Ufajmy, że tragedia antykultury, którą symbolizuje Oświęcim, to tylko wyjątek w dziejach ludzkiej kultury.

Ale nie jest przecież wyjątkiem, lecz nader smutnym faktem, że człowiek jako konkretna osoba raz po raz głęboko uwłacza swym czynem samemu sobie raniąc swą godność. I to tak głęboko, że niekiedy ma ochotę stanąwszy przed lustrem splunąć sobie samemu w twarz i zadać pytanie, jak czyni to Kazimierz Brandys w *Listach do Pani Z*: „Z kim ja właściwie mam do czynienia?” Dlaczego sam decyduję się na dokonanie tego pęknięcia w samym sobie, dlaczego sam wprowadzam nie-ja w swe ja, dlaczego ma miejsce ta autodekompozycja powodowana przeze mnie?

Sytuację tę analizuje znakomicie J. P. Sartre w dramacie *Przy drzwiach zamkniętych*. A więc do tego stopnia może człowiek uwłaczać swej godności osobowej, obrazić ją, pozbawiając się sam przez to godności osobistej! I stać się tego wszystkiego w sobie zarazem sprawcą i ofiarą, sprawcą zamachu na samego siebie, co więcej, najbliższym z możliwych świadkiem własnej autokatastrofy moralnej i nieprzekupnym surowym sędzią⁵. Do tego stopnia nieubłagany wobec siebie, że niekiedy nie umie sam z sobą wytrzymać, sam siebie ścierpieć i dłużej znosić. Kto? Kogo? I z powodu kogo! I wszystko to w jednej osobie. Czy nie dziwny jest ten ktoś, z powodu kogo dzieje się ta cała „afera”?

Dziwi się Sartre i umiejscawia tę tragiczną przygodę człowieka z samym sobą tam, skąd wyjścia nie ma, gdzie „wszelką nadzieję trzeba porzucić”. Garcin chciał raz na zawsze uciec od siebie, nie musieć więcej patrzeć na to, co uczynił sobie: swej godności. Ale nie da się. Samobójstwo? Tu? Tu jest ono

⁵ „Jest świadkiem i sędzią, który patrząc na ofiarę potępia sprawcę za akt profanacji. Potępia sprawcę głosem, którego on sam używa sprofanowanej przez siebie ofierze, musząc wciąż na nią patrzeć i – mimo jej sprofanowania – nadal ją widzieć w blasku prawdy (o) jej nieutralnej i zarazem sprofanowanej przez niego godności. Czyż Owidiusz nie z głębi tego właśnie samorozszczępienia wyrzuca ów krzyk rozpaczliwego samopotępienia wołając: «Video meliora proboque deteriora sequor!»?” Zob. T. Styczeń SDS, *Wolność z prawdy żyje. Wokół encykliki „Veritatis splendor”*, w: Jan Paweł II, *„Veritatis splendor”. Tekst i komentarze*, red. A. Szostek MIC, Lublin 1995, s. 151.

niemożliwe. Garcin, przykuwszy tak siebie do nie-siebie w sobie, musi już tak ze sobą sam na sam pozostać. Na zawsze. No exit! Wyjścia nie ma. (Tak właśnie Anglicy przetłumaczyli tytuł dramatu Sartre'a *Huis clos*.)

A cóż to zostawia w testamencie życia zmarły niedawno Friedrich Dürrenmatt swym współobywatelom, Szwajcarom, a także nam, Europejczykom, i wszystkim swym współczesnym w dramacie *Wizyta starszej Pani*? Ci jego współcześni przypominają jako żywo mieszkańców Gerazy, tyle że jakby przezuconych w jednej chwili wprost spod Jerozolimy do Güllen, miasteczka leżącego gdzieś na skraju demokratycznej Europy. I jako mieszkańców Güllen trapią ich dziś te same co dawniej nieprzewyciężalne kłopoty w próbach dopędzenia standardów swych współczesnych, tych z centrum lub pobliza metropolii, standardów dobrobytu, postępu swych sąsiadów. Ale oto zjawia się szansa zmiany na lepsze. Na stacji ich miasteczka zatrzymuje się expres, z którego wysiada słynna w świecie filantropka, dawna mieszkanka Güllen. Ma dla nich wszystkich interesującą propozycję. Mają uznać tylko jednego ze swych współobywateli, porządnego Illa, za „winnego śmierci”. Wszyscy oni wiedzą, że chodzi o jakieś z nim porachunki z czasu ich dawnej przyjaźni. Jak u młodych. Ale skoro Starsza Pani gotowa jest tyle zapłacić, to na pewno wie, za co płaci. Skoro uważa, że zasługuje on na śmierć, to na nią zasługuje. Więc?

W zakończeniu filmowej wersji dramatu Klara Zachanassian, oskarżycielka, zaskakuje jednak wszystkich – hojnie wynagrodzonych – mieszkańców demokratycznego Güllen zwołanych do udziału w publicznej egzekucji Illa. Sprawdziwszy, że nikt z obecnych nie kwestionuje wyroku śmierci, nieoczekiwanie dla wszystkich zabrania jego wykonania. Dlaczego? By musieli żyć na co dzień z ułaskawionym Illem. I widzieć w nim – niczym w zwierciadle – samych siebie. Mają patrzeć na unicestwioną przez siebie godność osobistą, i to mocą ciosu, którym zwracając się przeciwko osobowej godności jednego z nich – aktem zgody ich wszystkich na pozbawienie go życia – zwrócili eo ipso ostrze tego aktu samobójczo w stronę swej osobowej godności. I teraz muszą patrzeć. I „zobaczyć, kogo przebodli”, owszem, kogo przede wszystkim – i jak głęboko – ugodzili, godząc w niewinnego. Tak oto puentuje i przekazuje swym współczesnym sedno dramatu człowieka Dürrenmatt, proponując każdemu z nas tę osobliwą wizytę, która okazuje się podróżą w głąb naszego wnętrza. Garcin Sarte'a – to niczym obywatel miasteczka Güllen, który wziął udział w głosowaniu skazującym jednomyślnie Illa na śmierć. I teraz lęka się go spotkać na ulicy. Lęka się jeszcze bardziej jego odwiedzin u siebie, stąd zamyka drzwi, lecz zamknawszy je zostaje sam z sobą samym. Tu dopiero zaczyna się najgorsze: nie jest w stanie uciec przed sobą... sprawcą zabójstwa – i tu leży sedno tragedii – sprawcą swego moralnego samobójstwa, jego ofiarą, świadkiem i nieubłaganym sędzią.

Przysługująca człowiekowi jako człowiekowi nieutralna godność osobowa jawi się tu jako instancja, w świetle której poszczególna osoba ocenia

wartość moralną dokonywanych przez siebie czynów, czyli wyborów, poprzez które decyduje – jako ich podmiot sprawczy – o stanie swej godności osobistej. Czyli o swym stosunku do prawdy o sobie jako osobie.

Mistrzowie dramatu, i ci z antyku, i ci współcześni, zdają się „uczyć” nas w koło jednego i tego samego, gdy „uczą” etyki. Pokazują człowiekowi, że dramat ocalenia jego godności osobistej to dramat udźwignięcia prawdy o jego osobowej godności.

Pan, Panie Doktorze – ośmielam się to twierdzić w oparciu o sposób stawiania mi zarzutu – nie dostrzega istotnej tutaj różnicy pomiędzy g o d n o ś c i ą o s o b o w ą c z ł o w i e k a – n i e n a b y w a l n ą i n i e u t r a c a l n ą , i g o d n o ś c i ą o s o b i s t ą c z ł o w i e k a – n a b y w a l n ą i u t r a c a l n ą . Tę drugą, owszem, człowiek zyskuje aktami moralnie dobrymi, czyli zgodnymi z jego osobową godnością, czyli aktami godziwymi, godnymi po prostu człowieka jako bytu osobowego. Może ją też utracić wskutek aktów moralnie złych, czyli niezgodnych z jego osobową godnością, niegodziwych, niegodnych człowieka jako bytu osobowego. Osobowa godność człowieka przeto – stanowiąc kryterium moralnego działania człowieka, czyli normę dla jego osobistej godności – jest, jak widać z wglądu w powyższy związek, u p r z e d n i a i o n t y c z n i e , i a k s j o l o g i c z n i e w o b e c g o d n o ś c i o s o b i s t e j , c z y l i j e s t t e ż , o c z y w i ś c i e , i l o g i c z n i e p r z e z t ę o s t a t n i ą z a ł o ż o n a ⁶.

Godność osobową człowieka wyznacza – twierdzą to na podstawie poczynionych wyżej nader skrótowo tylko uwag i odpowiadających im terminologicznych ustaleń – to, iż jest on kimś, kto sam od siebie zależy, i to w taki sposób, iż sam uzależnia się od poznanej przez siebie prawdy, która od niego nie zależy, i sam poprzez jej asercję w poznaniu wzywa siebie do jej uznania za prawdę również aktami wolnego wyboru. Człowiek jest, innymi słowy, tym, kim jest, czyli osobą, przez to, że pisana mu jest rola powiernika prawdy i zarazem rola powiernika prawdy o jej powierniku. To go po prostu definiuje. Jest kimś tak godnym, jak nim jest przez to, że przypada mu do odegrania rola powiernictwa wobec powiernika prawdy. Jest tym, kim jest poprzez tę rolę, już zanim ją zaktualizuje jako jej bohater: pozytywny czy negatywny – na scenie dramatu powiernika prawdy. Pod tym względem bohater pozytywny nie różni się od bohatera negatywnego, Antygona od Ismeny⁷. Obie siostry

⁶ Profesor Adam Rodziński z KUL-u poświęcił temu zagadnieniu monografię *U podstaw kultury moralnej*, „Roczniki Filozoficzne” 16(1968), z. 2, s. 1-128; por. również tego autora: *Osoba i kultura*, Warszawa 1985. Sprawa ta była w swoim czasie żywo dyskutowana również przez pracowników Zakładu Etyki KUL z Profesorem Kozielskim na łamach „Więzi” (*Godność człowieka. Dyskusja etyków*, „Więź” 21(1978) nr 6, s. 22-24).

⁷ Por. K. Wojtyła, *Osoba i czyn oraz inne studia antropologiczne*, Lublin 1994, część czwarta, rozdz. VII, par. 2: „«Personalistyczna» wartość czynu. Spełnianie czynu jako wartość”, s. 304n., oraz „Wyprzedzanie i warunkowanie wartości etycznej czynu przez wartość personalistyczną”, s. 305n.

jako osoby stają na scenie swego dramatu jako na równi wyzwane przez prawdę o sobie.

Sprawa wywiązania się przez człowieka ze swej roli leży na przedłużeniu faktu, że rola ta została mu powierzona. Czy rozegra ją po mistrzowsku, czy spudłuje? To właśnie teren zmagania człowieka o godność osobistą, czyli tę, którą człowiek może zyskać albo utracić, zmagania zrozumiałych jednak wyłącznie w relacji do jego osobowej godności. Tej człowiek nie „zyskuje” mocą własnych zabiegów. On ją ma. Ona jest w nim. Więcej. Ona nim jest. Przez nią jest on tym, kim jest – osobą. Z czasem ją sam w sobie jako taką właśnie odkryje, mianowicie jako wpisaną w swój byt mocą faktu, że zaistniał i zjawiał się w tym świecie po prostu jako człowiek. Nie jako ktoś inny, na przykład nie jako wróbel. W tym też znaczeniu osobowa godność człowieka jest czymś, co człowiek żyjąc zachowuje w sposób nienaruszalny w ciągu całego swego życia. Pozostaje więc sobą w znaczeniu swej osobowej godności nawet wówczas, gdy aktem swego wolnego wyboru sprzeniewierza się poznanej przez siebie prawdzie, czyli przestaje być sobą w znaczeniu swej osobistej godności⁸.

Wskutek niedostrzegania tej właśnie – istotnie ważnej w kontekście etycznej refleksji – różnicy przypisał mi Pan pogląd, który jest mi tak obcy, że o możliwości jego istnienia dopiero od Pana się dowiaduję, czytając: „Otóż autor jest zdania, że człowiek zyskuje godność osobową tylko wówczas, gdy jest w stanie przekroczyć siebie w stronę prawdy”. Następnie zaś wysnuł Pan z tego poglądu szereg dalszych krytycznych wniosków, adresując je do mnie.

Żywię jednak nadzieję, że gdy Pan uzna przedmiotową zasadność powyższego rozróżnienia, uzna też Pan w konsekwencji za słuszne, iż nie widać podstaw ani potrzeby, by ustosunkowywać się do Pańskich wniosków, skoro są one wnioskami nie z głoszonego przeze mnie twierdzenia. Są bowiem wnioskami z przesłanki, którą Pan mi omyłkowo – choć, nie wątpię, że w dobrej, owszem, w najlepszej wierze (acz niezgodnie z rzeczywistością, czyli nieprawdziwie lub też – w Pana terminologii – niesłusznie) przypisał.

Cała ta sprawa zasługuje tu jednak na co najmniej trzy uwagi, trzy post dicta.

1. Otóż pragnę najpierw wyrazić Panu moją głęboką wdzięczność za to, iż uznał Pan za słuszne nie tylko zakwestionować moje twierdzenie jako niesłuszne, lecz nadto wyrazić wobec niego – jako zdaniem Pana niesłusznego – swój

⁸ Konteksty moralne, w jakich bywają używane w języku potocznym zwroty: „przestałem być sobą” lub też „zacząłem być sobą”, mają swe pełne przedmiotowe pokrycie in re, z czego wcale nie wynika, iż nie mogą być – wskutek braku ich dostatecznej precyzji – źródłem nieporozumień i konfuzji. W tej sytuacji obowiązkiem etyków staje się troska o „wyostrzenie” ich znaczeń, czyli precyzację ich sensu. Definicję analityczną, sprawozdawczą, trzeba zastąpić definicją regulującą. Nasza dyskusja stać się może niezłą okazją do „upowszechnienia” tej ostatniej...

sprzeciw, i to w sposób publiczny. Dla umożliwienia złożenia w tej sprawie świadectwa zadał Pan sobie trud, zwracając się do redagowanego przeze mnie kwartalnika „Ethos” z prośbą o podanie swego sprzeciwu do publicznej wiadomości. Wyrażam głęboki respekt za tę determinację w obronie tego, co uważa Pan za słuszne. Należy on jest temu, kto składa świadectwo czemuś, co uznaje za słuszne, nawet gdy się myli.

Ośmielam się jednak przy okazji zapytać, czy wyrażając swój sprzeciw – i to jak widać zdecydowanie – wobec mego twierdzenia jako niesłusznego i przeciwstawiając mu *eo ipso* własne jako słuszne, uważa Pan nadal, że słuszność ta jest jedynie wyrazem i efektem działania w nim uwarunkowań jednej z wielu tradycji kulturowych, tej właśnie, w której wypadło Panu żyć? Czy nie jest tak, że czyni to Pan dlatego, że gdyby tego nie uczynił, nie byłby – i nie czułby się z tego dokładnie powodu – w porządku z samym sobą, czyli z prawdą o przysługującej mu przedmiotowo osobowej godności?

Otóż wydaje mi się, iż Pan, broniąc słuszności czegoś, broni czegoś więcej niż tylko „zastanej tradycji”, czyli tego, co dana tradycja kulturowa każe uznać za słuszne. Broni Pan kogoś przed kimś. Kogo?

Odpowiedź w tej kwestii należy oczywiście do Pana. Ja nie odpowiadam, nawet gdy podpowiadam: Czy nie broni Pan siebie także? I przed kim? Przed Tadeuszem Styczniem tylko? Czy nie jest to walka samego siebie o siebie – w imię prawdy o sobie i – koniec końców – jej wyłącznie środkami? Na to pytanie proszę sobie samemu już odpowiedzieć. Wciąż mi się jednak na nowo – także w przypadku całej tej naszej dyskusji – to oto potwierdza: nasza wolność to wolność w „matni” tego, co stwierdzamy: „jest tak, nie jest tak”, i czemu sami przyświadczamy jako rozpoznaniu, któremu przysługuje wartość sądu (zdania) prawdziwego. Prawda ta wiąże nas zawsze i tylko własnym aktem jej stwierdzenia (nawet gdy w jej rozeznaniu ulegamy bezwiednie pomyłce). To my sami wiążemy się tym, co stwierdzamy – do uznania tego za przedmiotową prawdę i do respektowania jej dla niej samej. I to zarówno gdy chodzi o prawdę o tym, co stwierdzamy, jak i prawdę o tym, kto tę prawdę stwierdza i staje się przez to jej świadkiem. Czy nie powiernikiem także? I czy nie również powiernikiem jej powiernika, czyli samego siebie?

Pański tekst to dobra podnieta do refleksji na ten temat. Jest o czym myśleć. Warto o tym dłużej pomedytować. To temat do soliloquium. Może lepiej o tym więcej medytować, a mniej dyskutować. Nasze dyskusje mogą na tym jedynie zyskać.

2. Zauważył Pan chyba, że w mej poprzedniej uwadze dotyczącej sposobu rozumienia przez Pana terminu „słuszny” chodziło mi nie tylko o sprawę zrównania tego, co słuszne, z tym, co jest uważane za słuszne w określonym środowisku (tradycji, jak Pan pisze) kulturowym, przez co termin „słuszny” traci nie tylko swój sens etyczny, ale i epistemologiczny, stając się terminem etologicznym. Chodziło mi jeszcze o coś innego. Otóż na podstawie tego, co

powiedziałem o redukcji tego, co słuszne, do tego, co uważane za słuszne, nie widzę dostatecznej racji, bym miał na mocy faktu, że przynależę do tego samego środowiska kulturowego, eo ipso podzielać wszystkie jego standardy kulturowe, nawet gdy ktoś w oparciu o Pana rozumienie słuszności zechciałby mnie umieszczać p o z a standardami kulturowymi tej tradycji, do której Pan deklaruje swą przynależność, czy też nawet p o n i ż e j tychże standardów. Oto dlaczego nie przeżywam tego, co Pan o mnie twierdzi – kwestionując słuszność mych poglądów – za rodzaj wywyższania się Pana nade mną lub próbę poniżenia mnie przez Pana. Wszystko to jest jakoś – z racji wyłożonych wyżej – poza mną i nie zakłóca tego pokoju, o który jedynie zabiegam: być w porządku z tym, c o stwierdzam, i być w porządku z tym, k t o to stwierdza jako zachodzące⁹, czyli p r a w d z i w e (wedle adekwacyjnego rozumienia prawdy).

Z tej to pozycji ośmielam się – i pragnę – na koniec Panu czegoś życzyć i coś Panu obiecać:

Niech Pan, Panie Doktorze, krytykując Tadeusza Stycznia, dba o to tylko, by pozostał w zgodzie z samym sobą. Zaręczam, że nie będę miał nigdy pretensji czy żalu do Pana o to, że zostałem przez Pana krytykę poniżony. Przeciwnie.

3. Chyba tą tylko – niekiedy bardzo krętą – drogą dochodzimy do tego, że pragniemy wyłącznie, by mogła nas posiadać tylko p r a w d a, i do odkrycia, że my samych siebie odnajdujemy i potwierdzamy tylko przez to, że jesteśmy z wyboru jej sługami. I jako tacy – może wcześniej niż przypuszczamy – odkryjemy, jak bardzo jesteśmy, Pan i ja, przyjaciółmi. A może nawet ktoś o nas powie kiedyś: byli przyjaciółmi na życie i śmierć. Dlaczego? Bo się spierali? Dlatego? Tak. Bo się spierali. Ale w końcu chodziło im przecież zawsze i tylko o to jedno w tym sporze. Był to bezsporny wręcz warunek możliwości ich sporu. I jego faktycznego zachodzenia. To było ich *idem velle et nolle*. Tylko tego razem chcieli, i tylko tego razem nie chcieli. I tylko w imię tego się spierali.

Tak?

To o co oni się w końcu spierali?

Czymże było to ich *idem velle et nolle*, w imię czego prowadzili spór, i co ich koniec końców łączyło jako bezsporny warunek jego prowadzenia?

Czym?

Trudno mi tu nie myśleć o innym sporze: zmarłej niedawno Ewy Klimowicz i moim, po moim wykładzie na Zjeździe Filozoficznym w Toruniu w 1995 roku,

⁹ W porządku z sobą, czyli z prawdą o sobie jako świadku, który stwierdzając to, co stwierdza, staje się eo ipso świadkiem tego, co stwierdza, świadkiem prawdy faktu, który stwierdził, i jego prawdy powiernikiem. Doświadczenie nakłada na niego obowiązek świadczenia na rzecz prawdy faktu, czyli świadectwa (w razie potrzeby) i poręki. Świadek prawdy staje się jej powiernikiem.

i o uświadomieniu sobie wtedy – jak miemam obopólnie – bezsporności racji, w imię której prowadziliśmy wówczas – jakże żarliwie – tę dyskusję.

Czymże więc jest owa racja, która czyni sensownym wszelki rzetelny spór, jaki ludzie prowadzą?¹⁰

Tego tu nie wypowiem. Nie z lęku przed słowem. Lecz z respektu przed tym, co ono oznacza. Nie odmówię sobie jednak satysfakcji przytoczenia słów, którymi Norwid kończy jeden ze swych najwspanialszych – w moim odczuciu – utworów poetyckich:

„S a m z g a d n i j!” (C. K. Norwid, *Bliscy*)

Z wyrazami głębokiego szacunku
Tadeusz Styczeń

Lublin, 19 marca 1997 r.

¹⁰ „Spór o racje przeświadczeń nie jest więc nigdy sporem rywali. Staje się miejscem i okazją odkrycia drugiego jako kogoś, «kto tego samego chce i tego samego nie chce» («idem velle et nolle») tak samo jak ja: poznania prawdy [...] która ich obu na równi przerasta i która jest jedna. Spór o prawdę wiąże ich, bo pomaga im przekroczyć siebie w jej stronę i stać się przez to bardziej sobą. Taka metodologiczna postawa badacza oznacza zarazem radykalne otwarcie się na wszystko to – czyli także gotowość przyjęcia tego wszystkiego – co w jakimkolwiek poglądzie czy systemie filozoficznym wytrzymuje próbę wglądu w rzeczywistość, czyli «próbę doświadczenia». Zob. T. Styczeń SDS, *Być sobą to przekraczać siebie – O antropologii Karola Wojtyły*. Postłowie w: K. Wojtyła, *Osoba i czyn oraz inne studia antropologiczne*, Lublin 1994, s. 498n.